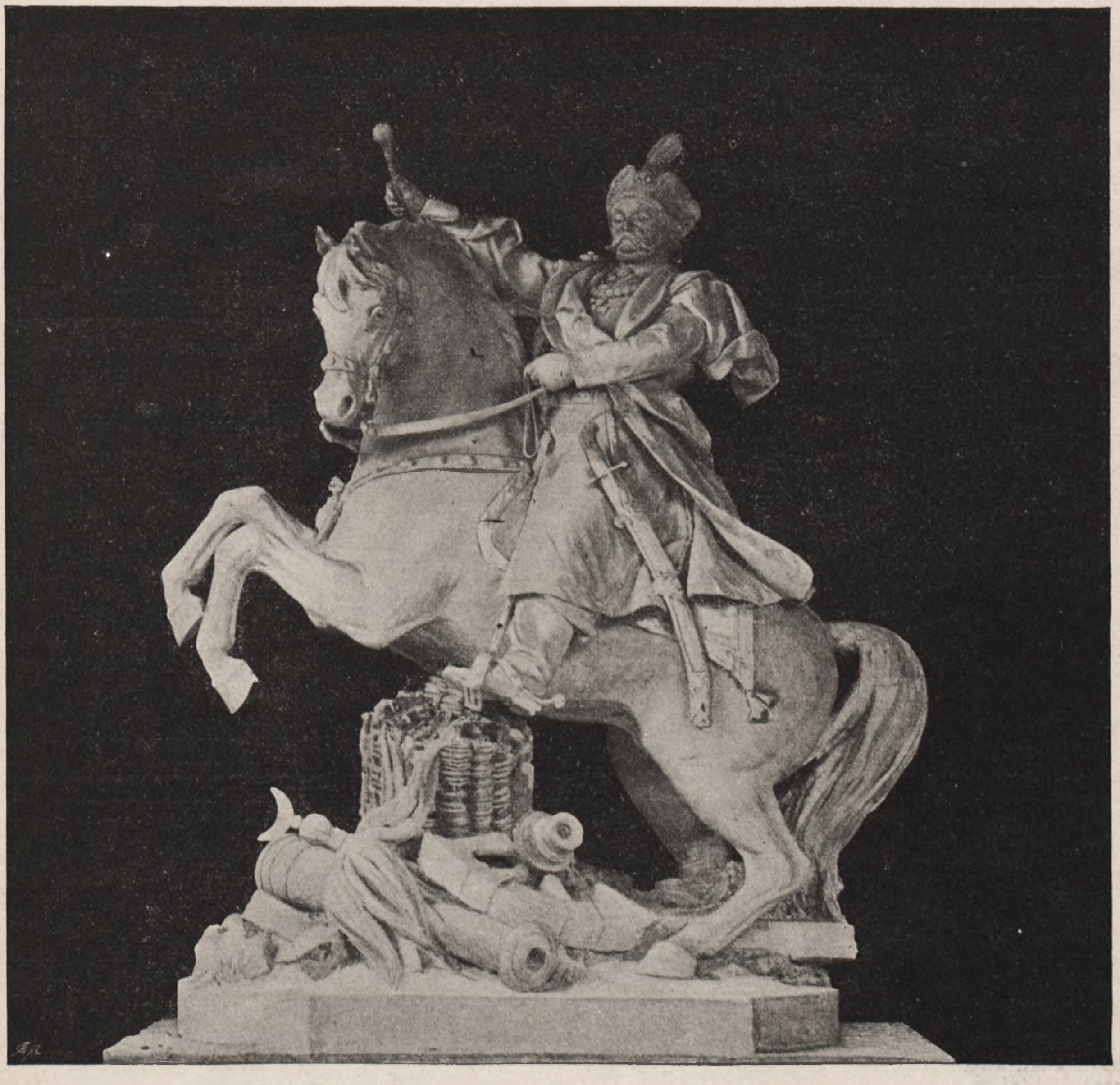
Nr. 47. We Lwowie dnia 20. Listopada 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Pomnik króla Jana III., dłuta Tadeusza Barącza, odsłonięty we Lwowie dnia 20. listopada r. 1898.

Elekcja.*)

I oto zeszedł się na pole
Konny, orężny, naród gwarny.
. . . . , ...
Zeszły się wszystkie polskie ziemie,
Powiały na wiatr ich proporce,
Jak zajrzeć okiem lackie plemię,
Konni stanęli w krąg wyborce...
Poznańskie z orłem bez korony,
Pomorski gryf z szponami z złota,
Lubelski jeleń rozpędzony,
Podolskie słońce blaski miota.
Wołyń — naprzeciw Moskwie całej
Jako tam pierwszym jest żołnierzem, —
Proporzec niesie z wielkim krzyżem,
A w pośród krzyża orzeł biały.
Nad województwem ruskiem z drzewa
Olbrzymi złoty lew powiewa, —
Lew, co od Turcji stojąc w mierze,
Przeciw napadom Polski strzeże.
Kijowski anioł w polu krwawem,
Jak zorza, co się błyszczy świtem,
Za ludu świętem stojąc prawem,
Z mieczem rozwija się dobytym.
I jak daleko wzrok zasięże,
Tylko chorągwie, tylko męże.

W pośrodku między zbory
Słomiana szopa wzwyż wystawa,
Ku której dążą senatory,
Ażeby wedle ludu prawa
W najlichszej króla obrać chacie;
Król polski bowiem brat to bratni,
I każdy szlachcic tam ostatni
Może go śmiało nazwać: „bracie“,
Gdy z szopy wzniosła go na króla
Boża i braci ludu wola.

To choć warszawskich świątyń dachy
Migocą się od srebrnej blachy.
Choć się wystawne świecą domy,
Lud idzie szukać tam elekta,
Gdzie szopa prosta, dach ze słomy,
Nad którą bocian lecąc klekta.
. . . .

I w krąg zasiedli, a na czele
Prymas przed orszak zasiadł tłumny...
I jako pszczoły w pośród ula,
Poważnem słowem brzęczą, radzą,
Kogo na tronie swym posadzą,
Kto ma podwyższon być na króla.

A naprzód obcych ziem posłowie
. . . .
Ale nim pierwszy głowę skłoni,
Po elekcyjnym całym łanie
Powstanie krzyk i tentent koni.
Zdaleka słychać dzwonów bicie,
I wieść jak piorun leci chyża,
Wieść, co w zbór cały nowe wlewa życie:
Hetman się zbliża, hetman zbliża!
To krzyk jak zajrzeć w krąg powstanie:
„Witaj, zwycięski nasz hetmanie!“
. . . .

On jechał w całej męża krasie,
Pod nim koń biały w rząd odziany,
Żując wędzidło, rzucał piany.
Miecz przy rycerza wisiał pasie,
Na głowie hełm ze złotym ptakiem,
Na piersiach droga zbroja perska,
K' ziemi zwieszona tarcz rycerska...
Wszystkie dni jego pełne chwały
Z tej złotej tarczy wyrastały.
Więc naprzód lśniły Słobodyszcze,
I tłum kozactwa za nim, przed nim,
Co pierzchał, jako noc przededniem,
Rzucając długie w proch ratyszcze.
Potem Podhajce i Kałusza,
Wreszcie Chocimska sławna wojna.
. . . .

Taką swej długiej tarcz zasługi
U boku zwiesił Achil drugi,
Ściągając konia kroki chyże,
Gdy drogę mu zachodzi rzesza,
A łuk ogromny po Wezyrze
Z rozrosłych bark się jego zwiesza.

Za nim srebrzystych poczt husarzy,
We zbrojach ciężkich, cudny prawie,
Co murem idzie, gdzie Bóg zdarzy,
A skrzydła brzęczą im żórawie,
A drugim orle, drugim sępie,
A konie w równym ciągną stępie.

I stanął Jan przed starców gronem,
Przed męże Rzeczypospolitej,
Majestat poczcił ich pokłonem,
Raz pierwszy głowy swej odkrytej,
Bo hełm już przywarł mu do czoła;
A gdy go biskup błogosławi,
Pośród zebranych starców koła
Stojąc, zabiera głos i prawi:
— „Zacni ojcowie tej Ojczyzny,
Gdy wam nad losem kraju radzić,
Kogo na polski tron posadzić,
Coby pogoił kraju blizny:
Tedy z dalekich granic dążę,

*) Lenartowicza poemat o Królu Janie, nigdzie w całości nie drukowany, wydała częściowo przed trzydziestu kilku laty księgarnia F. H. Richtera (H. Altenberga). Dzisiaj, w dniu apoteozy pośmiertnej, przytaczamy urywek — w streszczeniu — odnoszący się do chwili najwyższej chwały za życia Króla bohatera. (Przyp. Red.)

Rycerskie rzucam swe zabawy,
By wam Kondejskie podać książę,
Pokrewne króla wielkiej sławy"...
Wtedy kasztelan lwowski siwy,
A silny, by rozrosłe cedry,
Powstał, na szczęście kraju tkliwy,
I taka była mowa Fredry:
— ,,Ojcowie, świat się na nas zbroi,
Od wschodu ciągnie Azja dzika,
Z północy chciwy Moskal stoi,
Z Niemiec nie czekać napastnika.
Jam stary, toż widziałem wiele,
Bez zębów mi się trzęsą szczęki,
I blizki grobu, wołam śmiele:
Króla nam trzeba silnej ręki!
Wybierzcie męża, co przez całe życie
W potrzebach wciąż zbroicą migał,
I całość granic na swym szczycie *)
A całość praw na sercu dźwigał".
Wierzajcie słowom starców, młodzi,
Jam nie pochlebca, łaskobierca,
A mówię: ten się nam przygodzi,
Kto wszystkim przypadł nam do serca,
Na którym jawnie palec Boży..."
I rękę na pierś drżącą złoży,
Rzekąc: „Głosuję za Sobieskim!"

A gdy to rzeknie, cała rada,
Jak kiedy na sąd Boży wstanie,
Z ławic powstała, zawołała:
„Wiwat rex! zdrów bądź, królu Janie!"
A głos jak strzała, co nie chybi,
W burzę wszech głosów się rozrasta:
„O bracia, Bóg nam podał Piasta,
Boże! zbaw Polskę! laus Tibi!" **)

I, jak rządzone jedną duszą,
Chorągwie się koronne ruszą:
Błysnęły szable, samopały
Jak wielkie pole w krąg zagrzmiały.
A gdy z haubic poszły grzmoty
Przez wyciągniętych błoń zagonów,
Zahuczał głos warszawskich dzwonów,
Co cichą była aż dopóty.

A mały naród drobny kmieci,
Którym niepokój równo miotał,
Widział, jak gołąb w srebrnej sieci
Nad szopą starców się trzepotał —
I poznał: radość skąd wybucha,
I zubożone te gromady
Świadczyły: iż nie z panów rady,
Lecz padło tak z świętego Ducha.

A gdy stolicy grzmiały wieże,
I radość szlachty szczęsnej, butnej,
Jan tylko miał wzrok tęskny, smutny,
Jak ów, co krzyż na barki bierze.

I środkiem równin mazowieckich
Powiedli Jana do katedry,
Który szedł obok starca Fredry
I Jabłonowskich, Wiszniowieckich.
A niebo było takie czyste,
A szlachta grzmiała wciąż ochotniej,
I chwała była Tobie, Chryste,
W ten Matki Twojej dzień sobotni.

Teofil Lenartowicz.

*) Szczyt — staropols. puklerz, paweż.
**) Chwała Tobie.

Jerzy Brandes.

Gościa znakomitego, którego przyjmujemy we Lwowie, nie potrzeba chyba przedstawiać inteligentnemu ogółowi polskiemu. Znać go powinni wszyscy z jego dzieł, z których najcenniejsze, jak Główne prądy literatury europejskiej i Umysły współczesne dawniej już w przekładzie polskim wyszły, znać go powinni zwłaszcza z takich prac, jak Odczyty o literaturze polskiej w XIX. wieku, jak Polska, świeżo na nasz język przetłómaczona.

Ale tym wszystkim, którzy cenią Brandesa jako znakomitego krytyka, którzy go dziś witają, jako szlachetnego i wiernego przyjaciela naszego narodu, nie zawadzi może przypomnieć, co zrobił Brandes dla ruchu umysłowego i piśmiennictwa swego kraju — Danji, i wogóle dla piśmiennictwa skandynawskiego.

Jerzy Brandes, urodzony w r. 1842 w Kopenhadze, kształcił się następnie w Niemczech, gdzie z początku uległ wpływom heglizmu, z których jednak rychło się otrząsnął i przejął się ideami wolnomyślności religijnej i radykalizmu demokratycznego. Od estetyków francuskich, zwłaszcza od Taine'a przejął metodę krytyczną, ale ją stosownie do swego tempera-

mentu i zadań — przekształcił i zindywidualizował.

Warunki życia umysłowego i politycznego Danji, po katastrofie w r. 1864, mają dużo wewnętrznego podobieństwa do tych, w jakich znalazło się społeczeństwo polskie po ostatniem powstaniu. Dlatego to może łatwiej mu było, niż innym cudzoziemcom, zrozumieć nas, dla tego nam powinno być również względnie łatwem należyte ocenienie jego różnostronnej i płodnej działalności.

Po powrocie do kraju w r. 1866, Brandes wygłosił na wszechnicy w Kopenhadze szereg odczytów, z których powstało później dzieło p. t. Główne prądy literatury europejskiej". To dzieło, powiada Ola Hannson, tworzy jakby słup graniczny między dwoma okresami literatury skandynawskiej. Co dzień przed tem uchodziło jeszcze za zjawisko współczesne i żywe, nagle cofnęło się o duży krok wstecz, tracąc barwę i świeżość; piśmiennictwo poromantyczne wywierało odtąd na pokolenie młodych wrażenie organizmu niemal zwiędłego, niemal zasuszonego... Brandes w owym czasie odgrywał na całej Północy rolę siewcy ziarna duchowego; prawie wszystko, co od tej pory zakiełkowało i zakwitło w krajach północnych pochodzi od siejby, przez niego w zorane zagony rzuconej. Dzieła nowych pisarzy — to szczepy Głównych prądów Brandesa; z tego bogatego drzewa każdy odcinał sobie gałązkę, którą zasadzał na swoim własnym, osobistym talencie; jego zasadami karmili się ludzie..."

Brandes z bezwzględną namiętnością gwałtownego i zarazem upartego temperamentu poświęcił się działalności krytycznej i reformatorskiej. Nie tylko odrodzenie literackie, ale i równolegle z niem rozwijający się ruch demokratyczny i postępowy dużo mu zawdzięcza.

„Niby słup ognisty — pisze wyżej wspomniany krytyk — wystrzelił Jerzy Brandes z niwy kraju rodzimego, słup, który do koła świecił, rozgrzewał i zapalał. Nie znajdziesz nikogo pomiędzy pisarzami, starymi i młodymi, tworzącymi młodą Skandynawję, który onego czasu nie uległby czarowi jego osoby. Pobudzał, zapalał, zapładniał".

Te słowa charakteryzują wybornie działalność Brandesa. Nie jest on umysłem twórczym — krytyk nim być nie może — ale nie jest też tylko analitykiem. Należy on do t. zw. umysłów zapładniających, budzących twórczość ideową i artystyczną innych, oddziaływujących pośrednio, ale nieraz potężnie na te nawet dziedziny życia, które z działalnością jego nie mają na pozór żadnej styczności.

Wskutek prześladowania żywiołów reakcyjnych Brandes opuścił na lat kilka kraj rodzinny. Ale ten ruch, który wywołał, któremu dodał mocy ideowej, nie ustawał. Prądy umysłowe krzyżowały się z prądami politycznymi, „we wszystkich trzech krajach skandynawskich lewice literacka i polityczna stworzyły jedno wielkie stronnictwo postępowe, poeci i politycy poszli razem, ręka w rękę, jako bracia i towarzysze broni".

Gdy po kilkuletniej nieobecności Brandes wrócił do ojczyzny, nowe kierunki literackie i polityczne były już tryumfującymi. Ale i one przeobraziły się i on się zmienił, „oddalał się coraz bardziej od tego, co nazywano jego dziełem". Jego usposobienie estetyczno-krytyczne nie mogło się pogodzić z szablonami postępowego liberalizmu, z powszechnością wszechwładnej demokracji. Jego umysł na wskroś racjonalistyczny nie mógł uznać przykrej, nieraz nieuniknionej konieczności rewolucji historycznej. I znowu na katedrze w Kopenhadze w r. 1888 wygłasza Brandes odczyty, w których przeniknięty ideami Nietschego, propaguje indywidualizm bezwzględny, radykalny arystokratyzm duchowy.

Ale i w tej drugiej fazie swej działalności, jakkolwiek zakres jej był bardziej ograniczonym, wywarł na umysłowość swego kraju, wpływ potężny i na ogół dodatni, bo każdy protest śmiały i szczery, chociażby nieuzasadniony, budzi ruch i życie, wywołuje siły twórcze. Otoczyła go znowu szczupła, ale dobrana falanga pisarzy oryginalnych, na których wywarł wpływ stanowczy.

Ta krótka sylwetka nie ma pretensji do scharakteryzowania różnostronnej działalności i oryginalnej osobistości Brandesa, chcieliśmy tylko jedną i drugą przypomnieć dziś czytelnikom i zaznaczyć, że wprawdzie uczucie sympatji wzajemnej nie mierzy się wartością duchową człowieka, miło nam jednak w liczbie szczupłej przyjaciół szczerych narodu naszego widzieć człowieka tej, co Brandes, miary.

Jan Kasprowicz: „Krzak dzikiej róży“.

(Dokończenie.)

Mówiono nieraz, poniekąd w formie zarzutu, iż język Kasprowicza jest ciężki, a forma niewyrobiona. Zawsze zdawało mi się, że ta forma jego, ten wiersz twardy, chropawy, jakby dobyty ze złomów granitowych, jest tak zrosły z nim samym, tak nieoddzielny, iż ta chmurna i groźna poezja w innych kształtach — gładko ociosana, byłaby chyba własną parodją. Nie wiem, czy może istnieć coś ściślej z sobą złączonego, jak duchowa fizjognomja Kasprowicza i jego język. Jego forma nie wypływa bynajmniej z technicznych trudności, lecz jest poprostu organiczną częścią jego psychicznej istoty. Przypominam sobie bowiem jeden z dawniejszych wierszy — tytuł wyszedł mi z pamięci — zaczynający się mnie więcej od słów: „rozwiały się włosy twoje, jak jutrzniane blaski ranne...“ itd. — a taki lekki w swej powiewności, jakich mało znaleść. A znowu „Na śmierć Lenartowicza“ (Anima lachrymans) — małe arcydzieło, w którem w przedziwny niemal sposób zestawił i spotęgował wszystkie tony poezji lirnika mazowieckiego, posiada kształty tak proste, tak dźwięczne, jak echa pieśni zmarłego poety. Co prawda, forma jego była dawniej nieco grubiej ciosana; zdania szły ciężko, łamiąc się przez kilka wierszy. Dziś, chociaż to charakterystyczne łamanie się pozostało, Kasprowicz uwolnił się nieco od dawnej zawiłości. Może kogoś razić w tym tomie parę słów, nie zupełnie odpowiednich („życio świadczy“, w piekielnej c h e m j i nędz i walk“, „rajska eudemanja“), które spadły, jak obce odłamy, w przetopiony śpiż, ale one giną w tęgim oddechu, jaki owiewa te strofy. Język jego, bardzo bogaty, pełny poetycznych obrazów, nieraz dziki i brutalny, ma w sobie niekiedy chrapliwy chrzęst żelaza. — W jego strofach, jakby w kamieniu ku wiecznej trwałości kowanych, odezwie się czasem surowa powolność biblijnego tonu. Ich brzmienie twarde i silne jest tonem może prawie świadomie wybranym, odpowiednim objawem jego indywidualności — n a j z u p e ł n i e j s z y m j e j o d l e w e m. W tej chropowatości jest jakiś odgłos głuchej walki tej wspaniałej natury, szukającej jakby widomego znaku dla tego, co jej potężną pierś rozpiera. To też niekiedy, pozatem co już znalazło swój wyraz, otwiera się, jakby w perspektywie cała głąb tego, na co już miejsca i tchu nie stało.

Kasprowicz w początkach swego wystąpienia był poetą społecznym. Wiele wierszy z tej doby zawierało w swem powiciu tę samą siłę krzepkiej indywidualności, poza tem miały pewne zabarwienie społeczne — były, że tak powiem, poezją pewnego kierunku. Później poczęły wchodzić w jego poezję pierwiastki poetycznie ogólniejsze. Przyszła “Miłość“, a w niej „W Turniach“, „Przy szumie drzew“ i „Amore desperato“ z takim boleśnie urwanym akordem, potem „Anima lachrymans“ z ciężką melancholją „Marjana Olchowicza“ — a wreszcie „Krzak dzikiej róży“. Rozszerzały się jej ramy, jak wyżej wspomniałem, zmieniło tło — pozostawał w niej zawsze — nie bez walki — podkład natury, mającej w swym składzie pierwiastek społeczny silnie rozwinięty, — jaką jest Kasprowicz. Atoli to rozszerzanie było i odrywaniem się. Przenosiła się bowiem ta poezja z pewnych zewnętrznych dziedzin życia społecznego na grunt życia własnego.

I w ślad za tem, jak ona indywidualizowała się, jako czysty wyraz momentów tego życia, stawała się coraz posępniejszą. Snać musiały w biegu czasu przechodzić przezeń drgania tragiczne, które szarpały mu duszę do dna i rozszczepiały ją głębokimi rysami.

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą strawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

. . . .

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

. . . .

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Więżąc mię w swojej dławiącej obroży!...

Dla tych, którzy są ciekawi dróg, po których szła ta indywidualność poetyczna od pierwszych „Poezji“ do dzisiejszego tomu, to jakby rodzaj dokumentu, kryjącego za sobą jedno z najgłówniejszych źródeł tragizmu, który wpił w nią silne korzenie — źródło jednak nie jedyne, jakkolwiek inne pozostają z niem w mniej więcej filiacyjnym związku. To echo walki, toczącej się w łonie samej organizacji psychicznej między wybujałą jej siłą egotyczną a rozwiniętem w niej poczuciem społecznem wraz z jego ciężkimi okowami serdecznemi — echo ustawicznego przemagania się, pełnego krwawych łez i łkania bolesnego.

Dla tej duszy rozrosłej mocą, rozgorzałej ogniem, realne życie ze swym zamętem musi mieć jakąś ponętę. Może tkwi w niej przeczu-

cie, że jej siła znalazłaby szersze ujście w czynie. Pociąga ją możność włożenia swych porywów w d z i a ł a n i e.

Błogosławiony, kto pochwycił wiosła,
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!
(Życia ogromne morze... itd.)

W tem tkwi rozłam. Między poezją, wzniesioną w sferę tęsknot i marzeń tajemniczych, a czynem — w dole — na obszarach kipiących fal życiowych zbyt wielka przepaść. I stąd nowa melancholja:

Życia ogromne morze grzmi przedemną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.
. . . .
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Lecz poetę łączą z tem morzem nici cienkie, w serce wrosłe, które wszędy się za nim wdzierają.

Na krawędzie przepaści, po nad turnic załomy,
Tu, gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone,
Hej! wspięliśmy się dumnie i w błękitów ogromy
Wzrok topimy zuchwały i dłoń wznosim po słońca [koronę.
Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie newet spojrzeć w tę [stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych [widomy,
Zakochajmy się w sobie! Wszak jesteśmy, jak blaski [wcielone!
Tak nam duszę rozpiera tężna szczytu ponęta
Tem szaleństwem radości, że zrywamy już pęta,
Co nas łączą z brzemieniem nędz padolnych, tak wczoraj [odczutem...
A od nizin, zasłanych pobitemi zbożami,
Po sinawej mgieł fali płynie powiew za nami,
Jakby echo jękliwe, i do serca się wkrada wyrzutem...

Innym razem dusza, zmęczona szamotaniem się w sieci utkanej przez to „morze życia“, wybuchnie żądzą rzucenia się na oślep w wir wstrząśnień, któreby rozpętały drzemiące w niej moce.

Miałem-ci w sobie ongi moc czuwania,
A dzisiaj senność ogarnia mi ducha:
Gdzie życie wrzało, tam dziś pustka głucha,
Gdzie słońce było, chmura blask przysłania.
Jakowaś boleść, jakaś zawierucha,
Co słabym bytom pewną śmierć wydzwania,
Niech, jak halnego wiatru, straszne grania,
Wstrząśnie istotą moją: Jest-li krucha,
To po niej żalu nie będzie... A jeśli
Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów,
To razem z wichrem taki szlak zakreśli,
Że zetnie na nim smreki swym oddechem,
Sił pozbawione dla idących czasów,
A to, co mocne, odpowie jej echem.

Ale naprózno wśród niszczącego żywiołu woła: „niech świat przepada, na to on, by zginął!“ Gdy dojdzie doń jęk, płynący od spustoszeń, duch jego

. . . . . do smreków tuli się bezwładnie...
I naprzód czuje strach i żal ponury,
A potem znowu senność go opadnie...

Wspomniałem, że wiersze z gór stanowią pewien rodzaj lirycznego pamiętnika poety. Tkwi w nich jeszcze coś innego, prócz pragnienia wielkich wrażeń ze sfer, gdzie przyroda objawiła się w najbardziej wstrząsających formach. Drga tam gorąca tęsknota oderwania się od życia, przecięcia wszystkich nitek serdecznych z niem łączących, a tak w zamęcie boleśnie poplątanych, że dusza niemi omotana opada ze znużenia — żyje chęć ucieczki w odciętą atmosferę spokoju, rozwieszonego na szczytach. Ale przez podwoje wielkiego państwa skał weszła jego dusza nie sama — wkradły się za nią jej obawy i pamięć powrotu — wkroczyła przekształcona przez blizny i skazy, z ciągle żyjącą pamięcią wszystkich drgnień i umęczeń przeszłych. Ma je ustawicznie w sobie, odbijają się one ku niej z wydzierających się w niebo ścian skalnych, od wód cichych, rozświetlonych w słońcu. I na jeziorach włoskich, wśród jasności, zdającej się cały świat zalewać, popada w zadumę i, rojąc, że „z takich rozemdleń szklistego jeziora, z takiego blasków słonecznych rozgrania“ wyszła niegdyś Afrodyte, wznosi hymn miłości, o gorącym kolorycie „Pieśni nad pieśniami“ — poetyczną pieśń ciała. Zda jej się, że naokół słyszy „upajającą pieśń blasków o szczęśliwości, co idzie z kochania... o szczęśliwości, co w zakątek głuchy, zdala od krzyków i zabiegów świata... splotła sobie ciche gniazdo... i śpi obojętna, że tam gdzieś zatrata bierze się z życiem za bary.

A tylko czasem, gdy w gmach jej spokoju
Przedrą się z zewnątrz nazbyt głośne szczęki,
Echa uderzeń broni, echa boju,
Co na krwi łanie trwożne rodzi lęki,
Wstaje zdziwiona, i z rozpaczną mocą
Rzuca pytanie w okrąg: po co?.. po co?...
. . . .
Po co się zrywać w spienione odmęty
Walki, wszczynanej o tysiączne złudy,
Które prawdami zwie ten świat, przejęty
Kłamstwem i fałszem...
. . . .
Rozczarowania naco i boleści
Szukać gdzieś w sferze, chmurami zakrytej,
Kiedy nadziei spełnienie się mieści
W drżących objęciach jasnej Afrodyty,
Na co szturmować, gdzie kłam zasiadł w gości,
Gdy wszystka prawda jest tylko w miłości?

Lubię te sonety przepyszne. Gdyby cały ten tom był skazany na zniszczenie, wydarłbym „Na jeziorach włoskich“ z tym ich hymnem miłośnym i melancholją — dla siebie, tak, jak dla autora samego ocaliłbym „Akordy jesienne“ — poczęte pod ołowianem niebem, kiedy wzrok idzie przed się, gubiąc się, z człowieka wiary i siły, jak zeschłe liście, opadają, a w mgłach snuje się żal sił starganych i rozpacznie wsiąka w duszę, która, w trwodze obudzona, zwija się, zdjęta żałością nad sobą samą.

Mimo tego tragizmu, a może właśnie przez jego rodzaj, rdzeniem tej organizacji jest siła niespożyta. Kasprowicz sam z siebie wyrósł. Tkwi w nim indywidualność potężna, szorstka, oporna wpływom. Może co najwyżej odezwie się czasem u niego leciuchno ton – rzecz dziwna — eterycznej poezji Shelleya, którego z upodobaniem tłómaczył. Lecz nigdzie tak do dna nie odsłania się ten duch, karmiący się ukrytą dumą swych orlich lotów, jak w „Akordach jesiennych“. Jesienny wiatr, gwiżdżąc posępnie, wdziera się w duszę poety, siejąc strach i zwątpienie.

Z za mgławic wstaje przed nim dawny duch młodości, pełen porywów i marzeń – wstaje i idzie ku niemu z nadziejami dawnemi.

Idzie — w drodze kształt swój zmienia: Apolina [gładką skroń
Na pochmurne zmienia czoło, pełne krwią nabiegłych [żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny, na siermięgę chiton [muz. .
Idzie — idzie — na globusie zolbrzymiałą kładzie [dłoń,
Świat wywraca w jego osiach, wielkie morza w dżdżysty [pył,
Wielkie góry ziemiowładne w piarg roztrąca, w marny [gruz.

Ten wielki sen młodości teraz doń wraca; poorane ma lica, zimny pot okrywa mu czoło, ale niesie z sobą niestartą dawną dumę świętą, „że jest z ludu krwi i łez“. I dusza poety ocucona wyrywa się w mroki jesienne, na dalekie obszary — aż zatrzymuje się przed wielkim rozgwarem życia. Wyrasta przed nią olbrzymie widmo, „Duch uśpionych w dole ciał“ a nad nim unosi się krwawa chusta i krzyż ogromny. To płyną zastępy i hufce zmarłych, całe wieki przesuwają się w gwarze i zamęcie. Dusza poety, porwana pieśnią życia, zapatrzona w znak olbrzymi, leci z tym tłumem w dal nieskończoną, tam,

Gdzie nad krawędź ciemnej ziemi strzela zorza, jak [ten krzak —
Gorejący krzak pustynny, w którym Bóg przemawiał— [Bóg!...

Takiej dumy wzniosłej, jaką tętnią te „akordy“, wydobyte z poszumu jesiennego wichru, takiego majestatu siły własnej nie mieliśmy już dawno — bardzo dawno — —

A teraz jeszcze na zakończenie.

Cóż, że jestem dziś samotny jak smagany wichrem głóg?
Cóż, że barwną swą koronę pośród zimnych tracę burz?
Wszak naturze, matce wielkiej, zaciągnięty-m spłacił [dług —
I jam z pola wszak nie schodził, jak leniwiec albo [tchórz!

Niech mi syczy głos zawistny: Więdniejące liście złóż;
Niech odpycha mię od siebie znikczemniałe plemię sług!
I jam rzucił plenne ziarna, z których wzrosną pęki zbóż,
By wzbogacić człowieczeństwa ten otwarty wielki bróg!

Szalej wichrze! zrywaj liście! mieć śnieżycą! dżdżami [pluj!
Siecz po skroni! włos rozwiewaj! aż do ziemi' krzyże [gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany, z rąk podróżny wytrąć [kij!
Mogę stanąć jak wylękły, mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy o niebieski rzucić skłon,
Lecz tej dumy mi nie wydrze twój, szalony wichrze, gon!

Onorate l'altissimo poeta!

Tadeusz Sobolewski.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

Kochała go, jak tylko można kochać, kochała mózgiem, krwią młodą, marzeniami, [...]mą kobiety, miłością dziecka, przywiązan[...] niewolnicy, fantazją aktorki, sercem biedn[...] bezdomnej dziewczyny, dla której on był [...]stwem: tak kochała i wyrzekła się go [...] zawsze. Myślała, że to poświęcenie nie będz[...] tak straszne; ale teraz, w samotności, gdy pomyślała, że on już nigdy nie przyjdzie, że już nigdy go nie zobaczy, że już nigdy nie będzie go słyszeć, nigdy czuć przy sobie. nigdy... nigdy! nigdy! szalała z rozpaczy, wiła się z męki i przyduszonym przez nieopowiedziany strach głosem wołała:

— Lwie mój, o mój dobry! mój jedyny, mój szlachetny, o życie moje! Zabij mnie, a nie pozostawiaj samą! Zabij, a weź mnie ze sobą!...

Ale nikt się nie zjawiał, a jej żal i rozpacz rozrastały się jeszcze, więc żeby zapanować nad sobą, żeby się zagłuszyć, powtarzała ciągle:

— Musiałam, musiałam... musiałam... I po tysiąc razy przypominała sobie, że przecież ona nie mogłaby, nie powinna zostać jego żoną, jej nie wolno zostać jego żoną. Byłaby z najwię-

kszem szczęściem została jego kochanką, gdyby zechciał tego tutaj, w teatrze — ale jego żoną tam, na wsi, nigdy w życiu...

Wkrótce przyszła matka i zaczęła ją uspokajać i pocieszać i przytulać do siebie; ale odepchnęła ją szorstko i wołała z żalem:

— To mama chciała, to przez mamę jestem tak nieszczęśliwą, przez mamę...

— Jakieś ty niesprawiedliwe dziecko, jak ty mnie ranisz głęboko... Więc ja, twoja matka umyślnie chcę cię unieszczęśliwić, co? Łzy zadrgały w jej głosie.

Nie odezwała się, ukryła twarz w dłonie i płakała spazmatycznie, a matka stanęła przy oknie i zapatrzona w zamglony śnieżną kurzawą świat — mówiła urywanym, pełnym boleści głosem.

— Mówiłam ci wczoraj i tłumaczyłam, dla czego nie możesz i niepowinnaś wyjść za mąż za Zakrzewskiego, to samo powiem ci i teraz. Nie chcę cię widzieć nieszczęśliwą, dosyć już sama wycierpiałam, wystarczyć to powinno za ciebie.

— Leon mnie kocha i właśnie bez niego jestem nieszczęśliwą.

— Tak, wiem o tem; ale to się skończy prędko, a tamto trwałoby całe życie.

— O nie skończy się, nie skończy... nie skończy — wołała przez łzy.

— On cię kocha, bo ma dwadzieścia lat; e jak rodzina jego nie zgodzi się na to małństwo, jak się go wyrzekną i pozostawią bez grosza — to za rok będzie żałował, a za dwa będzie przeklinał własną głupotę i ciebie znienawidzi. Znam takie małżeństwa, za dobrze znam. — Zamilkła, ocierając łzy, wywołane jakiemś gorzkiem przypomnieniem.

— Dziecko moje, Lili, nie gniewaj się na e — szeptała, obejmując ją mocnem, mazyńskiem ramieniem — wykarmiłam cię ni i krwią, oddałabym życie za ciebie, więc mogę nawet myśli znieść, że mogłabyś być szczęśliwą. Wierz przecież matce, widzisz... tyle wycierpiałam... tyle nędzy przeszłam... tyle goryczy wypiłam... że całą duszą, całą mocą będę cię bronić przed tem samem i choćbym życiem zapłaciła, nie dam cię nieszczęściu, nie dam córko moja, duszo moja, — zaczęła trząść się w płaczu.

— O moja mamo! moja mamo! — wołała Lili, widząc jej łzy i oplotła ją ramionami, całowała po rękach, objęła za szyję i przytuliła rozgorączkowaną, zapłakaną twarz do jej chłodnej twarzy, po której sznur łez cichych ciągnął się nieprzerwanie.

Mrok je otulał coraz gęstszy swoim smutnym, szarym całunem, jaki rozwiewał nad wszystkiem, co razem z dniem umarło, a one wciąż płakały, jednocząc łzami dusze we wspólnem morzu bólu.

Noc już zaglądała przez szyby drgającemi oczami gwiazd, gdy matka znowu zaczęła mówić. Prosiła, przedstawiała, przekonywała o niemożliwości tego małżeństwa, błagała ją nawet. Mówiła smutne rzeczy i stawiała jeszcze smutniejsze pewniki, bo patrzyła na świat i ludzi wszystko odgadującem okiem doświadczenia.

Lili już nie protestowała, tylko od czasu do czasu rzucała się jej na szyję i wybuchała strasznie żałosną skargą.

— O, moja mamo! jaka ja jestem nieszczęśliwa!

* * *

Zakrzewski zaś warjował z rozpaczy i dawał jej wyraz najbardziej młodzieńczy. Znienawidził ludzi i przeklinał życie. Chciał wyjechać natychmiast, ledwie go uprosili, aby pozostał do przedstawienia, bo nie mogłoby się bez niego odbyć.

Pozostał, ale całe te dnie spędzał nieprzytomnie, chodził do kolegów i skarżył się, a gdy chciano go uspokajać, wpadał w gniew i najbrutalniej wymyślał wszystkim. Uczuł dziką radość w wypowiadaniu ludziom tego, co o nich myślał. Gałkowskiej rzucił prosto w oczy, że jest nędzną i brudną intrygantką. U Korniszona, zobaczywszy go malującym na pozszywanych prześcieradłach wykwintny salon, śmiał się długo, a potem kpił krwawo z jego mazaniny, z jego pijaństwa, z jego nędzy i wstrętnego komedjanctwa. Korczewską nazwał najgłupszą z klemp teatralnych, radził jej zająć się przyjmowaniem prania, a nie udawaniem aktorki. Kosa obrzucił takim gradem przezwisk pogardliwych, że tamten uciekł ze strachu.

Spotkał na ulicy doktorówny, zmierzył je posępnym wzrokiem i nie ukłonił się, przechodząc ostentacyjnie na drugą stronę ulicy.

Mścił się na innych i na sobie za zawód, jaki go spotkał. Musiał zresztą w jakiejbądź formie wyrzucić z siebie ten nadmiar męki, jaka go łamała.

Poszedł do Olkowskiego do szpitala i siedział przy nim parę godzin, bo ta dziwnie tragiczna cisza szpitala, przepojona zapachami karbolu i jodoformu, ta cisza pełna jęków, westchnień, a czasem rozdzierających krzyków nędzarzy, uspokajała go, odrywała od siebie i zatapiała w grozie tej nędzy ludzkiej, jakiej pełne były szpitalne sale. Tam czuł, że nie sam przynajmniej cierpi i stwierdzał to z pewną, zresztą nieświadomą przyjemnością, patrząc na Olkowskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.